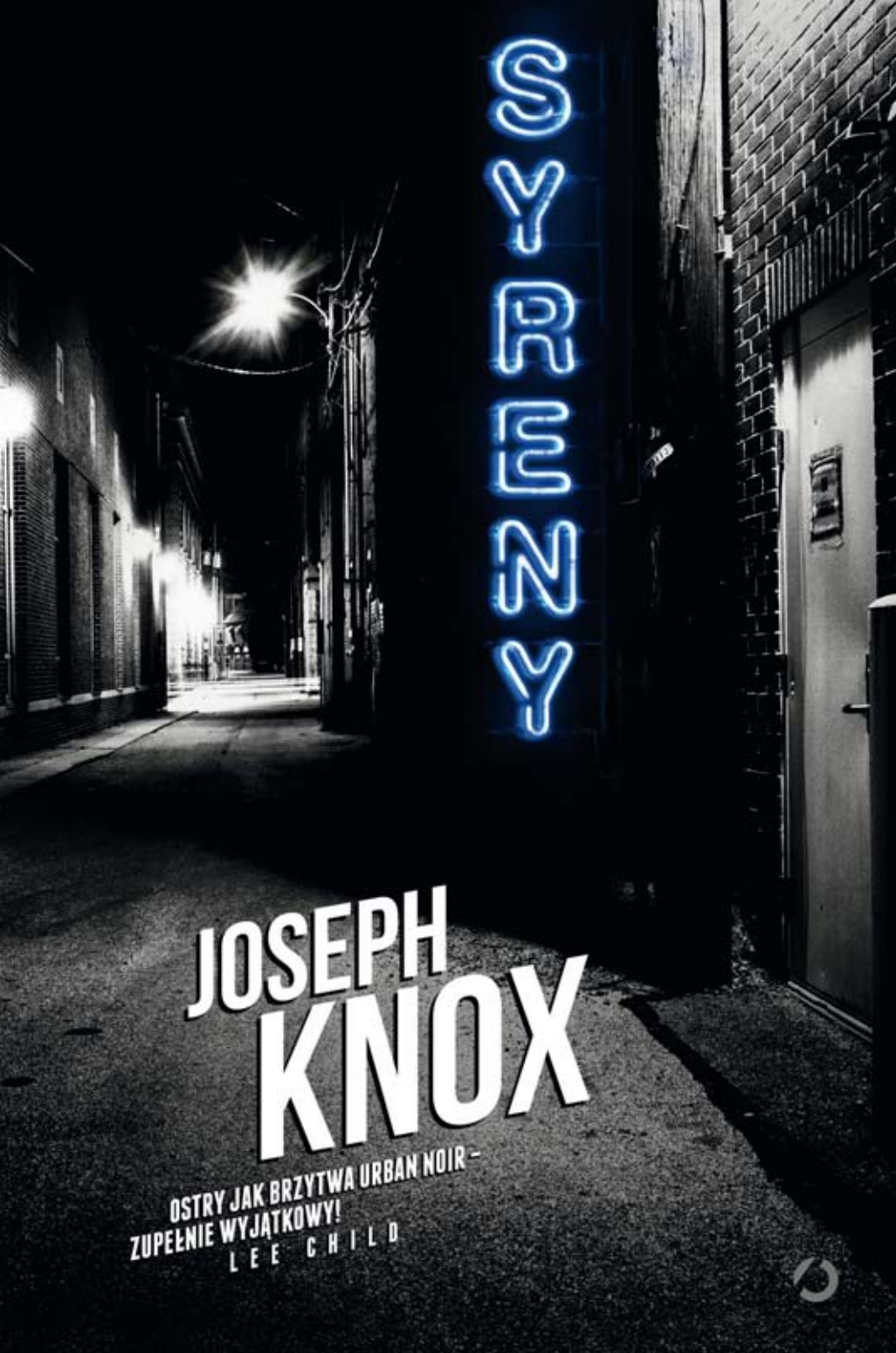




SYRENNY

JOSEPH
KNOX

OSTRY JAK BRZYTWIA URBAN NOIR -
ZUPEŁNIE WYJĄTKOWY!
LEE CHILD



JOSEPH KNOX

SYRENY

TŁUMACZENIE ANNA GRALAK



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *Sirens*

Copyright © Joseph Knox 2017

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargaskog

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Joanna Holdys / Wydawnictwo JAK

Korekta: Aneta Tkaczyk / Wydawnictwo JAK,
Joanna Holdys / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Jon Bilous / Shutterstock.com

Fotografia autora: © Jay Brooks

ISBN 978-83-7515-365-1



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Johnny

„Przeszłość jest teraz częścią mojej
przyszłości, teraźniejszość zupełnie
wymknęła mi się z rąk”.
Joy Division, Heart and Soul

Po tym wszystkim wróciłem na nocną zmianę. W świetle dnia nigdy więcej by mi nie zaufali. Czas upływał mi na odbieraniu telefonów alarmowych o czwartej nad ranem, wchodzeniu i schodzeniu po nieczynnych ruchomych schodach i na usilnym powstrzymywaniu się od myślenia. Kiedyś byłem w tym dobry. Kilka miesięcy później ledwie mogłem uwierzyć, że znowu widzę swój oddech w powietrzu. Wrócił listopad.

– Leje jak cholera – powiedział Suttty, odmawiając wyjścia z samochodu.

Czasami to były ziarna gradu, a czasami breja. Dziś wieczorem ściana deszczu chwytała światło i oczyszczająca ulice. Potrzebowały tego. Partner podał mi swoją gazetę i wysiadłem z samochodu, trzymając ją nad głową jak parasol.

Przyjechaliśmy na wezwanie menedżera charytatywnego sklepu z używanymi rzeczami. Patrzyłem na jego poruszające się usta. Chciał, żebym usunął jakichś bezdomnych, którzy schronili się przy wejściu do budynku. To, co mówił, nie miało większego sensu, ale i tak niewiele mnie to obchodziło. W nosie miał kruczoczarne włosy pozbijane w kępki, coś jak zaczątek wąsika Hitlera. Spojrzałem na mężczyznę i kobietę

śpiących obok wejścia, powiedziałem menedżerowi, że marnuje czas policji, po czym wróciłem w deszczu do samochodu.

Wgramoliłem się do środka i oddałem Suttty'emu mokrą gazetę. To była kara za to, że ze mną nie poszedł. Spojrzał na mnie z wyrzutem, a potem skupił się na ociekającej wodą, podwiniętej stronie.

– Widzisz to? – spytał, podsuwając mi gazetę i obserwując moją reakcję. – Śmierć w kiepskim stylu, nie?

Zdjęcie rozmazało się w deszczu, tekst również, ale i tak wiedziałem, że to ona. Jedna z trzech dziewczyn, które przełotnie znałem poprzedniego roku. Podtytuł informował, że w chwili śmierci miała dwadzieścia trzy lata. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, miała dwadzieścia dwa. Spojrzałem przez okno na powracający listopad. Była ostatnią z nich. Suttty przechylił się w moją stronę i znacząco odkasznął.

– No, mów – powiedział. – Co tam się tak naprawdę stało? Spojrzałem na niego spokojnie.

– Pytasz niewłaściwą osobę.

Ja wiedziałem tylko, gdzie to się zaczęło. Wiedziałem o trzech wymierzonych we mnie ciosach i znałem wszystkie powody, dla których nie mogłem odmówić. Nie umiałbym wyjaśnić, o co chodziło tym dziewczynom, kobietom, które na chwilę znalazły się w moim życiu. Na chwilę je zmieniły. Nie zrozumiałby ich śmiechu, ich oburzenia, ich sekretów. Przez resztę nocy moje oczy podążały w stronę ludzi na ulicy, dziewczyn, kobiet, i czułem się tak, jakbym patrzył na życie, którego nie przeżyją.

Wróciłem do domu wcześniej rano, zrobiłem sobie drinka i usiadłem. Skakałem po stacjach radiowych, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej tego odkładać. Ponownie przeczytałem gazetę i po raz pierwszy od miesięcy pozwoliłem sobie na to, żeby pomyśleć o tamtych wydarzeniach.

„Przez ciebie umieram”, powiedziała.

Co tam się tak naprawdę stało?

I

UNKNOWN PLEASURES

Jakaś młoda para przeszła na drugą stronę, żeby mnie ominąć, i usłyszałem pobrzękiwanie monet w czyjejs kieszeni.

Ulica, którą widzisz codziennie, może wyglądać obco, gdy leżysz twarzą do ziemi, i dlatego dopiero po chwili domyśliłem się, gdzie jestem. Chodnik zamarzl. Nisko wisząca mgła rozmazywała powietrze i wszystko, co przez nią przebijalo, było w jakiś sposób zmienione. Odebrała ostrość całemu miastu, pozbawiając blasku kolejny piątkowy wieczór.

Zdrętwiało mi lewe ramię i obróciłem się, żeby sprawdzić, która godzina. Tarcza zegarka była roztrzaskana. Zakładając, że stanął, gdy uderzyłem o ziemię, i że od tej pory minęło tylko kilka minut, miałem jeszcze ponad godzinę. Mogłem włożyć suche ubranie i zjawić się w barze ze sporym wyprzedzeniem, żeby zobaczyć przekazanie forsy. Pomacałem ścianę i wstałem. Bolała mnie twarz, a mózg sprawiał wrażenie, jakby się obluźował i grzechotał w czaszce, wymazując numery PIN i imiona przyjaciół z dzieciństwa.

Patrzyłem, jak młoda para znika we mgle. Mimo istnienia mediów społecznościowych, monitoringu i struktur państwa nadal żyjemy w świecie, w którym można zniknąć, jeśli się

tego chce. A czasem nawet jeśli się nie chce. Minął mniej więcej miesiąc, odkąd wyciekła moja historia.

Miesiąc, odkąd zaginąłem.

Dotknąłem tyłu głowy, w którą przed chwilą ktoś mnie uderzył, i to mocno. Portfel nadal miałem w kieszeni, co oznaczało, że nie zostałem obrabowany. Ostrzegano mnie. Wokół nie było nikogo, ale czułem na sobie spojrzenia.

Ulica się zakołysała, więc przytrzymałem się słupa latarni, żeby na powrót znieruchomiała. Potem, idąc, pokonywałem długie odcinki z zamkniętymi oczami, w ogóle nie przejmując się tym, że na coś wpadam.

Skręciłem za rogiem i znalazłem się na Back Piccadilly, natychmiast rozpoznając sfatygowane budynki z czerwonej cegły po ich zewnętrznych schodach przeciwpożarowych. Ciągną się po obu stronach wąskiej uliczki, tworząc klastrofobiczne przejście. W wieczornym deszczu odbijało się światło księżyca i szedłem tamtędy bardziej przez sentyment niż z jakiegokolwiek innego powodu. Po drugiej stronie była całodobowa kawiarnia, w której w poprzednim życiu spędziłem trochę czasu. Minęły lata, odkąd przestałem tam chodzić, a miasto zmieniło się tak bardzo, że na pewno nie zobaczyłbym w niej żadnych znajomych twarzy.

Po kilku krokach usłyszałem, jak gdzieś za mną rusza samochód. Silnik z warkotem obudził się do życia, zbierając siły przed przejściem w łagodne burczenie. Światło zalało wąską drogę i u moich stóp wyrósł przekrzywiony cień sylwetki.

Chudszej, niż pamiętałem.

Spojrzałem przez ramię w oślepiające reflektory. Samochód z włączonym silnikiem stał u wlotu uliczki. Nie było się czemu przyglądać. Odwróciłem się i poszedłem dalej. Gdy znalazłem się w połowie, światło reflektorów zadrżało. Ruszyło za mną.

Silnik zwiększył obroty i samochód podjechał. Brzmiało to tak, jakby był zaledwie pół metra albo metr za mną, i już

wiedziałem, że tak naprawdę wcale nie zniknąłem. Czulem światła palące mi kark. Nie chciałem się więcej odwracać i patrzeć przez nie na kierowcę. Bałem się, kogo mógłbym zobaczyć.

Wcisnąłem się we wnękę, żeby przepuścić samochód. Przez kilka sekund stał w miejscu. Mrużąc oczy w świetle, zobaczyłem bmw. Tylko lśniący czarny lakier i chrom. W płucach czulem noc. Krew buzowała mi w żyłach. Szyba przesunęła się w dół, ale nie widziałem, kto jest w środku.

– Detektyw Waits? – odezwał się jakiś mężczyzna.

– A kto pyta?

Usłyszałem śmiech kobiety dobiegający z miejsca pasażera.

– To nie jest pytanie, przystojniaku. Wsiadaj.

Deszcz stukający o przednią szybę drwił ze mnie. Moje żyły wydawały się cienkie i słabe. Siedziałem na tylnym siedzeniu, próbując dla rozrywki zacisnąć dłoń w pięść. Pomyślałem o amfie w kieszeni płaszcza.

– Więc to prawda, co mówią? – spytał kierowca, czytając w moich myślach.

Z wyglądu dobiegał pięćdziesiątki. Miał szerokie ramiona i ilekroć kręcił kierownicą, kołysał nimi jak bokser wagi średniej. Był ubrany w dopasowaną grafitową marynarkę, prawie w kolorze swoich włosów. Gdy spoglądał we wsteczne lustro, robił to od niechcienia, patrząc w moim kierunku, jakbym był przezroczysty. Kobieta była wypłowiałą blondynką z grubym kucykiem.

Milczałem.

Poczułem chłód swojego przemoczonego ubrania i zacisnąłem zęby, żeby powstrzymać drżenie. Jedynym elementem w samochodzie, który nie pochodził prosto z salonu, było policyjne radio. Włączone. Czulem zapach drogich waniliowych perfum, ale nie rozpoznawałem marki. Nie pasowały jednak do żadnej z dwóch osób siedzących z przodu. Pachniały pieniężmi i młodością.

Zdecydowanie oddalaliśmy się od miejsca, w którym byłem przed chwilą. Od nocnego życia, od oślepiającego światła. Mijaliśmy puste sklepy i podupadające lokalne firmy. Olbrzymie puste budynki. Umierającą główną ulicę.

– Czego chce? – spytałem.

Mężczyzna nawiązał ze mną kontakt wzrokowy w lusterku.

– Nie pytałem.

Skręciliśmy w Deansgate.

Ta licząca prawie dwa kilometry ulica ciągnie się z jednego końca miasta na drugi. Oferuje mnóstwo atrakcji, od restauracji tylko z zaproszeniami po jadalnię dla bezdomnych, a między jednymi a drugimi wszystko, co tylko można sobie wyobrazić.

– No więc gdzie on jest?

– W Beetham Tower.

Chyba zakląłem.

– Już tam kiedyś byłeś, prawda? – spytała kobieta.

Najwyższy budynek zlokalizowany poza stolicą, Beetham Tower, to jeden z kilku drapaczy chmur w mieście. Plany były takie, żeby coraz bardziej piąć się w górę, każda budowla miała być o kilka metrów wyższa od poprzedniej, jak na jakimś olbrzymim wykresie z matowego metalu obrazującym nieprzerwany postęp. Deweloperzy uznali, że mogą zarobić miliony na wynajmie samotnym mężczyznom i kobietom małych, bardzo drogich apartamentów, naszego jedyne go towaru. Chodzili jednak z głowami w chmurach. Gdy gospodarka wokół nich zaczęła się walić, właściciele, inwestorzy i budowlancy stracili wszystko. Liczba samobójstw wśród mężczyzn lekko wzrosła, a pozostali jakoś ciągnęli dalej.

Teraz większość tych opuszczonych placów budowy remontuje się na złom. Inne się zostawia, żeby gnily, gromadząc deszczówkę w odsłoniętych fundamentach i rdzewiejąc jak otwarte rany w ziemi. W czasie trzyletniej budowy bywały chwile, gdy wydawało się, że nawet Beetham Tower nie zostanie dokończona. Rosła jednak na przekór wszystkiemu,

wysuwając się jak środkowy palec skierowany do całego miasta.

Skręciliśmy z Deansgate i zatrzymaliśmy się pod zadaszeniem dla samochodów obok wieżowca. Rozpromieniony portier ubrany jak Sinatra pochylił się nad szybą. Natychmiast rozpoznał naszego kierowcę, przestał się uśmiechać i dał ręką znak, żebyśmy wjechali na podziemny parking.

Wieżowcem Beetham Tower dzielą się hotel Hilton, lokale mieszkalne i umieszczone na samej górze, urządzone na indywidualne zamówienie penthouse'y. Sama budowla ma smukły kształt, ale czteropiętrowa dobudówka u jej podstawy jest znacznie bardziej rozłożysta. To nieuniknione, bo mieści salę balową i basen, atrakcje dla uśmiechniętych synów i córek najbogatszych dwóch procent populacji miasta. Ściany holu i baru są prawie wyłącznie ze szkła. Zostało to tak zaprojektowane, że gdyby ktoś przypadkiem chciał spojrzeć na zewnątrz, zobaczyłby jedynie własne odbicie.

Już tu kiedyś byłem.

W ubiegłym roku pewna młoda kobieta zabiła się, wypadając przez okno na dziewiętnastym piętrze. Dasa Ruzicka pracowała w branży erotycznej, była nieletnia. Pochodziła z Czech. Gdy miała czternaście lat, ojciec sprzedał ją lokalnemu handlarzowi i przemycono ją przez Europę. Łatwo było brać dziewczyny z takich miejsc, bo bardzo często ginęły bez śladu. Każda wtapiała się w tło, na którym zwykle się znikало. Był jednak inny, bardziej elementarny powód, dla którego ją zabrano.

Dasa była piękna. I nie miało to nic wspólnego z wychudzoną wersją piękna, którą promuje się w dzisiejszych czasach. Ona przywracała temu słowu znaczenie. Jej jasna cera w naturalny sposób nadawała się do seksroboty, bo mimo całego smutku, którego najprawdopodobniej w nadmiarze dostarczyło jej życie, jakimś cudem wciąż wyglądała niewinnie. Stałym elementem mojej pracy była frustracja związana z traktowaniem kobiet jak przedmioty do pieprzenia i okładania pięściami. Do wyrzucania przez okna. Zastanawiałem się, jak to o nas świadczy, że najgorsze, co kobieta może zrobić, to mieć wdzięk.

Byłem pewny, że Dasa nie przebilaby się przez okno z taką siłą. W pokoju hotelowym, z którego wypadła, nikogo jednak nie znaleziono. Zatrzymałem gości i pracowników obsługi na wiele godzin i przesłuchiwałem każdego, kto miał kartę magnetyczną, która dawała wstęp na to piętro. Gdy poskarżyło się wystarczająco wielu bogaczy, przysłali na moje miejsce komisarza. Zaprowadziłem go do pustego pokoju na dziewiętnastym piętrze i próbowałem wyjaśnić sytuację.

Nie chciał mnie słuchać, więc wycofałem się pod drzwi ze wzrokiem skupionym na oknie. Na mieście w dole. Uświadomił sobie, co zamierzam zrobić, i krzyknął, żebym przestał. Pobiegłem w stronę okna, przede wszystkim po to, żeby zobaczyć jego minę, ale zdołał stanąć mi na drodze, zanim w nie uderzyłem.

Był to drugi z trzech wymierzonych we mnie ciosów, które koniec końców doprowadziły do tego, że wylądowałem na pierwszych stronach gazet. Do mojej zupełnej kompromitacji. Do konieczności przyjęcia jedynej roboty, jaka mi pozostała.

Śmierć Dasy uznano za samobójstwo.

Od tamtej pory nie byłem w Beetham Tower.

– Sierżant Conway – przedstawiła się funkcjonariuszka, wyciągając do mnie rękę.

Gdy czekaliśmy w holu, jej kolega rozmawiał z recepcjonistką. Powiedziałbym, że jak na policjanta z wydziału do spraw specjalnych zbyt się spoufalął. Rozległ się ryk śmiechu od strony grupy mężczyzn w smokingach, którzy wchodzili przez olbrzymie zdobione drzwi obrotowe. Zaczęli tańczyć pod żyrandolem wielkości rodzinnego samochodu. Patrzyłem na sierżant Conway i pragnąłem, żeby na nich spadł.

– Dlaczego tak cię nie lubi? – spytała, wskazując głową swojego partnera.

Mężczyzna odwrócił się od kontuaru i ruszył w naszą stronę, a ona wyprostowała się, jakby moja odpowiedź przestała ją interesować.

Winda sunęła bez końca ku penthouse'om – w tej części wieżowca nigdy wcześniej nie byłem. Mężczyzna użył karty, która dawała dostęp do najwyższych pięter. Zniekształcona przez głośniki, tandetna wersja *My Heart Will Go On* dobiegła końca, powoli ucichła, a potem zaczęła się od początku.

Podobnie jak wszystko w tym budynku, winda była cała w lustrach i stali.

Patrzyłem na swoje buty.

Zatrzymaliśmy się na czterdziestym piątym piętrze i drzwi otworzyły się z szumem. Zanim mechaniczny głos w windzie dokończył swoją kwestię, mężczyzna mocno chwycił mnie za ramię.

Poszliśmy długim, gustownie minimalistycznym korytarzem, zostawiając sierżant Conway w tyle. Minęliśmy dwa inne apartamenty, jedyne na tym piętrze oprócz tego, do którego zmierzaliśmy, a potem stanęliśmy przed czarnymi jak smoła drzwiami. Mężczyzna otworzył je kartą, po czym skierował mnie do salonu olbrzymiej anonimowej rezydencji.

W prasie dużo się pisało o tych penthouse'ach. Oferta była skierowana wyłącznie do megabogaczy. Sam apartament zupełnie nie był wart swojej ceny, ale płaciło się za coś innego. Za przebywanie sto siedemdziesiąt metrów nad ziemią. Za jedyną w życiu okazję, żeby spojrzeć z góry na miliony ludzi albo zmusić ich do zadzierania głów, jeśli samemu miało się wystarczająco dużą, by chcieli i mogli ją zobaczyć.

W pokoju było ciemno, oświetlało go jedynie neonowe miasto na dole. Trzy ściany salonu zbudowano z olbrzymich tafli szkła i oferowały niemal panoramiczny widok.

– Usiądź – powiedział grafitowy. Stałem dalej. – Jak sobie chcesz. Za chwilę do ciebie przyjdzie. – Po tych słowach obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi. Otworzył je tylko na taką szerokość, żeby móc przejść, i postarał się, żeby nie trzasnęły podczas zamykania.

Dyskrecja.

Gdy się zamknęły, od razu ruszyłem za nim i spojrzałem przez dziurkę od klucza. W korytarzu było zupełnie pusto i zastanawiałem się, czy mógł się poruszać aż tak szybko. Przez chwilę myślałem, że przykucnął, żeby zniknąć mi z pola widzenia, ale taki pomysł był zbyt niedorzeczny.

– Jesteśmy sami, Waits, jeśli to pana zastanawia.

Odwrociłem się w stronę głosu. Zobaczyłem ciemną sylwetkę mężczyzny na tle luny nad miastem.

– Skąd ma pan to limo? – spytał z tym swoim charakterystycznym akcentem z Oxbridge.

Dotknąłem oka.

– Byłem w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie.

– Już myślałem, że to detektyw Kernick tak pana nie lubi.

– Rzeczywiście, wydawał się zawiedziony, że ktoś go ubiegł.

– Też odniosłem takie wrażenie. – Mężczyzna wszedł w strefę słabego światła i uśmiechnął się. – Powinienem się przedstawić. Pośl David Rossiter.

Podszedłem do niego. Był wysoki, władczy. Miał około czterdziestu pięciu lat, był ubrany w elegancki garnitur i ujmująco bezpośredni, jak przystało na dobrego polityka. Miał też mocny uścisk kogoś, kto żyje ze spotykania się z ludźmi: użył obu rąk, żeby drugą nakryć moją. Skórę miał ciepłą, ale jego obrączka była zimna w dotyku.

– Proszę, niech pan usiądzie – powiedział. Po chwili zastanowienia zrobiłem to i on także. – Ciekawe.

– Co takiego, panie Rossiter?

– Wskazałem miejsce po mojej lewej, a pan wybrał to po prawej. I proszę mi mówić David. – Uśmiechnąłem się, czując tępy ból w obu oczach. – Pewnie się pan zastanawia, po co tu pana zaprosiłem, Aidanie.

– Waits – powiedziałem. – Zakładałam, że nie w celach towarzyskich.

– Jak pan woli, Waits. Interesuje się pan polityką?

– Tylko jeśli nie mam innego wyjścia.

Znowu się uśmiechnął, patrząc prosto na mnie i za każdym razem zapewniając mnie tym spojrzeniem, że rozbawiłem go w jakiś szczególny sposób. Widywałem go na pierwszych stronach gazet, gdzie tak samo patrzył na zbrodniarzy wojennych.

– Nie zakładam, że wie pan, kim jestem.
– Jest pan posłem Davidem Rossiterem.
– A co panu wiadomo na temat mojej kariery? – spytał, cyszelując ostatnie słowo.

– Tylko to, co piszą w gazetach.
– Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że lepiej nie wierzyć w to, co piszą w gazetach. „Skompromitowany detektyw Aidan Waits...”

Zignorowałem to.

– Pański ojciec był posłem i dobrze na tym wyszedł. Pan jednak zaczynał jako większy idealista. Gdy pana brat poszedł na polityczny front, pan kombinował jako adwokat. Ożenił się pan młodo i małżeństwo jest udane. Ale chyba trudno, żeby się nie udało z dziedziczką wódczanej fortuny.

Znowu ten uśmiech.

– Wszedł pan do polityki w dziwnym okresie. Torysi mieli za sobą cztery lata z dala od władzy, a gdy pan dołączył, czekały ich cztery kolejne. Mimo to dodał pan starej gwardii wiarygodności. Nie trzymał się pan kurczowo linii partii, popierał pan małżeństwa homoseksualistów, prawa kobiet. Nawet imigrację. Odpowiedni rodzaj zuchwałości, żeby dostać się do Rady Ministrów. Nikt nie był zaskoczony, gdy mianowano pana ministrem sprawiedliwości, zwłaszcza że wywodził się pan z kręgów prawniczych. I pewnie sprzyja panu także to, że jest pan eleganckim, rodzinnym człowiekiem mającym dwie ładne córki.

– Powinien pan napisać moją biografię – powiedział. Przy ostatnim słowie ściszył głos na widok moich trzęsących się rąk. Bez zastanowienia wstał i nalał dwa kieliszki koniaku z barku w kącie pokoju.

– Dzięki – powiedziałem, gdy podał mi jeden z nich.
– A politycznie gdzie pan ląduje? – spytał, siadając z powrotem.

– Ciągle jeszcze jestem w powietrzu.

– Niezdecydowany?

– Po prostu polityka wydaje mi się zbyt mało konkretna, żeby mogła rozwiązać problemy, z jakimi się stykam.

Upił łyk, przez sekundę potrzywał alkohol w ustach, po czym przełknął.

– Ratuje pan świat po jednej osobie? – Pokiwał głową. – Pewnie jest to jakieś rozwiązanie. – Poruszył się na kanapie. – A gdybym w takim razie opowiedział panu o jednej osobie? O jednej osobie rozpaczliwie potrzebującej ratunku?

– Powiedziałbym, że są ludzie, którzy nadają się do tego lepiej niż ja.

– Już panu mówiłem, że nie wierzę w to, co piszą w gazetach. Napilem się.

– Zrobiłbym, co w mojej mocy, ale ten stary grafit na korytarzu też by sobie poradził. Prawdopodobnie lepiej.

Chyba mu się to spodobało.

– Tak naprawdę, Waits, jest pan jedynym człowiekiem, który może mi pomóc. Co panu mówi nazwisko Zain Carver? Nie odpowiedziałem.

– Dziś rano – ciągnął – rozmawiałem z pańskim przełożonym. Z kapitalnym gościem o nazwisku Parrs.

– Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiaduję?

– Zniknął pan z radaru. Znalezienie pana zajęło detektywowi Kernickowi kilka godzin.

– Cieszę się, że zachował przy tym tyle dyskrecji. Ta beemka od razu wkomponowała się w tło.

– Przepraszam pana. Wydział do spraw specjalnych zbyt gładko wtapia się w zamożne dzielnice.

– Ja wtapiam się w te złe.

– I właśnie dlatego pan tutaj jest...

– Nie mogę rozmawiać z panem o Carverze, dopóki nie pomówię z komisarzem Parrsem.

Rossiter przyglądał mi się przez chwilę, a potem wyjął telefon z kieszeni marynarki i wyciągnął go w moją stronę.

– Wolalbym, żeby to pan wybrał numer – powiedziałem.

Uśmiechnął się, przewinął listę kontaktów i zaczął, aż ktoś odbierze. Parrs jak zwykle odezwał się natychmiast.

– Mam tu tego twojego Waitsa – powiedział Rossiter do słuchawki. – Pasuje do roli. Bardzo autentyczny. Przyjął nawet drinka na służbie. Ale nie chce ze mną rozmawiać, dopóki nie porozmawia z tobą. – Znowu podsunął mi telefon, a ja go wziąłem.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Waits – powiedział komisarz Parrs. Jego szkocki akcent przypominał ciche warczenie. – Zrobisz wszystko, o co poprosi pan minister. Porozmawiamy jutro. – W słuchawce zapadła cisza i oddałem telefon Rossiterowi.

– Zain Carver – powtórzył.

– Handlarz narkotyków.

– A dla pana?

– Słabe ogniwo, jeśli będę miał szczęście.

– Ma pan za zadanie się do niego zbliżyć?

– Mam wrażenie, że moje zadania niedługo się zmienią. – Nie odezwał się. – Jeśli Carverowi dobrze idzie, to dlatego, że jest jedyny w swoim rodzaju. Biznesmen wśród oprychów. Mam za zadanie sprawdzić, czy da się to wykorzystać.

– Jak wykorzystać?

– W zasadzie na trzy sposoby. Gdyby go odpowiednio przycisnąć, mógłby donosić na innych handlarzy. Nie jest największy ani najsprytniejszy, ale mógłby pogrążyć kogoś, kto taki jest. Mógłby też nam powiedzieć, którzy funkcjonariusze policji są na jego liście płac. A co najciekawsze, może być po prostu przykrywką.

– Dla kogo?

– Możliwe, że ma nad sobą z kilkunastu ludzi, o których nigdy nie słyszeliśmy.

– Ciekaw jestem, co pan z tego wszystkiego ma? Przecież pana nazwisko zmieszano z błotem...

– Moje nazwisko od początku było niewiele warte. Po co pan mnie tu ściągnął, panie Rossiter?

Nalał sobie następnego drinka. Usłyszałem, jak jego zęby zderzają się ze szkłem.

– Co pan wie na temat mojej córki? Tej młodszej, Isabelle.

– Ładna dziewczyna, dość młoda. Ma osiemnaście, dwiętnaście lat?

– Siedemnaście – powiedział. – I zadaje się z tym całym Carverem.

– Jest niepełnoletnia. Niech pan tam pośle radiowóz i sprowadzi ją do domu.

– To samo zasugerował komisarz Parrs. Obawiam się jednak, że potrzeba tu trochę większej finezji. – Patrzyłem na wielkie krople deszczu uderzające o szyby wokół nas. Przez kilka sekund mogłem odróżnić każdą z nich, a potem zrobiły się cięższe, szybsze i pokój otoczyła rozmazana plama. Czekałem. – Taki zorientowany gość jak pan pewnie pamięta, kiedy po raz ostatni pisano o Isabelle.

– Zasłabła – powiedziałem. – Z wyczerpania.

Nie poruszył się.

– Próba samobójcza?

Pokiwał głową.

– Isabelle cierpi na depresję. To część spadku po rodzinie ze strony jej matki. Zdarzały się też inne próby, ale nigdy aż tak dramatyczne jak ta ostatnia. Było za dużo krwi, za dużo zamieszania, żeby zataić to przed prasą. No więc powiedzieliśmy, że to z wyczerpania. – Wpatrywał się w jakiś punkt po mojej prawej stronie, przeżywając to wszystko od nowa. – Osobiście poszedłem do naczelnych i ich ublażałem.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Naprawdę? – odparł, po czym złagodził pytanie, zmieniając je w inne. – Wie pan, co jest jedyną rzeczą gorszą od tego, że twoja córka dźga się w szyję? – Pokręciłem przecząco głową. – To, że po odzyskaniu przytomności wraca do

domu i nienawidzi cię za to, że uratowałeś jej życie. – Dopił drinka. – Rozmawiała ze mną. Powiedziała, że rozumie, w jakim jest stanie, rozumie, że miewa gorsze dni. I bardzo spokojnie dodała, że to nie był jeden z nich. Że tego dnia myślała trzeźwo i nie potrafi mi wybaczyć, że zadzwoniłem po karetkę.

– Córką posła musi pokonać daleką drogę, żeby skończyć u boku Zaina Carvera.

– No cóż, pokonała daleką drogę – powiedział. – Poznała go chyba przez kogoś z przyjaciół. Z tego co wiem, mieszka w Fairview od miesiąca.

– Od miesiąca? – Nie odezwał się. Fairview to była nazwa domu Zaina Carvera. Ogromnej wiktoriańskiej posiadłości na południu miasta, w okolicy pełnej studentów. Dom słynął z imprez przyciągających wszystkich: od studenckich obiektów westchnień po lokalnych celebrytów. – Nie wiem, co Parrs panu powiedział, ale mam rozkaz trzymać się od nich z daleka. Obserwuję przekazywanie pieniędzy, piję z poorniejszymi dilerami...

– I nieźle się pan spisuje – wszedł mi w słowo. – Dziś pańskie rozkazy się zmieniają. Ma pan przekroczyć ten próg. Ubrudzić sobie ręce. Nawiązać kontakt z ważnymi graczami.

– I z pana córką?

– Nie mogę ryzykować, że policja przywiezie ją do domu.

– Z całym szacunkiem, skoro prasa posłuchała pana raz, to posłucha i drugi. Zresztą czy warto się przejmować skandalem, jeśli dzięki niemu uda się sprowadzić córkę do domu?

– Skandalem? – powiedział. – Gdybym dzięki temu mógł ją odzyskać, zrezygnowałbym z pracy bez mrugnięcia okiem. – Uwierzyłem mu, ale powinienem był to potraktować jak ostrzeżenie. Mówił o Isabelle, jakby już nie żyła. Opanował się. – Nie mogę znowu być tym, przez kogo zrobi sobie krzywdę. Rozumie pan?

Może bym zrozumiał, gdybym wyraźnie widział jego twarz, ale spowijała nas ciemność.

Wzruszyłem ramionami.

– Jest pan młody. Zobacz pan. Dla dziecka człowiek jest gotów zrobić wszystko.

– Co miałbym zrobić dla pańskiego?

Milczał, jakby jeszcze się nad tym dobrze nie zastanowił.

– Może pan się do niej zbliżyć? Sprawdzić, czy nic jej nie jest?

– Mógłbym nawet spytać, jak się miewa.

– Naprawdę wolałbym, żeby nie nawiązywał pan z nią bezpośredniego kontaktu.

– Nie ułatwia mi pan zadania, panie Rossiter.

– Nie chcę sprowadzać córki do domu wbrew jej woli. A tym bardziej nie chcę, żeby zrobiła to policja.

– Pańska córka nie domyśliłaby się, że jestem z policji – powiedziałem. – Nawet facet z wydziału do spraw specjalnych, który czeka na korytarzu, musiał się bardzo natrudzić, żeby to odkryć. – Nie odpowiedział. – Niech pan posłucha, to są źli ludzie.

– Jak pan myśli, w jakiego rodzaju kłopoty się wpakowała? Seks? – To słowo dużo go kosztowało.

– Nie wiem, nie sądzę. Carver uważa się za dżentelmena. Za biznesmena.

– To chyba dobrze?

– Zależy, jakie ma pan doświadczenia z biznesmenami. Moim zdaniem to niebezpieczna zabawa. Istnieją inne sposoby, żeby wykorzystać dziewczynę, zwłaszcza taką ze znany nazwiskiem. W mieście są dilerzy, którzy nie mieliby dla niej litości. Szybko wróciłaby do domu i na terapię, bez względu na to, jak bardzo pana nienawidzi.

Z wysiłkiem zignorował zniewagę.

– A Zain Carver?

– On jest inny. Są większe szanse, że wie, z kim naprawdę ma do czynienia. Większe szanse, że ją oczarował. Carver handluje ósemką i...

– Ósemką?

– Heroiną – wyjaśniłem. – „H” to ósma litera alfabetu. Całkiem przyzwoita nazwa handlowa, ale przede wszystkim chodzi o to, że brzmi niewinnie na rogu ulicy albo w klubie.

– Wykluczone. Isabelle ma pewne problemy, ale nie sięgnęłaby...

– Nikt by nie sięgnął, dopóki tego nie zrobi. W każdym razie to miasto uniwersyteckie. Od kilku lat Carver dobrze wychodzi na sprzedaży narkotyków na imprezy. Czy on wie, że to pana córka?

– Możliwe. – Przelknął ślinę. – Choć Isabelle zazwyczaj się tego wstydzi.

– Nawet gdyby wiedział, grałby w niebezpieczną grę, nie mając pojęcia o tym, że nie chce jej pan po prostu ściągnąć z powrotem do domu.

– Hm – mruknął, przesuając w zamyśleniu obrączkę.

– Uciekała już kiedyś?

– Tylko do pięciogwiazdkowych hoteli, za które płaciła moją kartą.

– Mógłby mi pan dać jej zdjęcie?

Rossiter sięgnął do kieszeni na piersi. Wyjął zdjęcie i podał mi, osłaniając je drugą ręką jak płomień. Isabelle była bladą, ładną dziewczyną o płowych włosach i inteligentnych niebieskich oczach. Spoglądała w jakiś punkt nad aparatem. Na osobę, która go trzymała, pomyślałem.

– Niech pan posłucha. – Pochylił się. – Przepraszam za ten żart o piciu na służbie. Na pewno przeżywa pan wielki stres. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Potrzebuje pan ode mnie czegoś jeszcze? – spytał.

– Jak się nazywa ten przyjaciel, który zapoznał ją z Carverem?

- Obawiam się, że nie znam jej nazwiska.
- Jej?
- Jego, ich. Ktokolwiek to był.
- Może pana żona...
- Alexa nie czuje się dobrze. Nie wolno jej niepokoić.
- Rozumiem. A dlaczego tak bardzo zaczęło panu zależeć na powrocie Isabelle? - Uniósł brew. - Skoro nie ma jej już od miesiąca.
- Dobre pytanie. - Zaciśnął zęby. - Chyba mogę panu powiedzieć. Toczę wojnę na dwóch frontach. Alexa też cierpi na depresję. Od jakiegoś czasu nasze stosunki są... napięte. Obawiam się, że Isabelle gdzieś nam w tym wszystkim zaginęła.
- Jak mam się z panem kontaktować?
- Podał mi wytłaczaną wizytówkę. Przesunąłem palcami po wypukłych literach.
- Zastanie mnie pan pod tym numerem o każdej porze, w dzień i w nocy.
- No cóż, dziękuję za drinka. Będę w kontakcie.
- Zostawiłem go przygarbionego na kanapie. Wyglądał na znużonego i osamotnionego.

Rubik należał do tych przepastnych barów, które wraz z upływem wieczoru ewoluują w kluby nocne. W uczciwszych czasach zapewniał Haćiendzie niezłe zyski, goszcząc wszystkie liczące się zespoły postpunkowe. Ale to była już przeszłość. Mieścił się tuż obok Locks Street i zwrócony był w stronę kanału biegnącego przez całe miasto. Salę piwną podświetlano na czerwono i w godzinach pracy brakowało tam jakiegokolwiek innego oświetlenia. Była to jedna z największych sal w kraju, zdolna pomieścić kilka tysięcy ludzi.

Na trzech piętrach działały cztery bary.

Od trzech tygodni obserwowałem tam menedżera głównego baru. Był wielkim facetem hodującym permanentny popołudniowy zarost, który traktował jako swój znak firmowy. Sprawiał wrażenie człowieka wyrachowanego i czujnego. Zwłaszcza w piątkowe wieczory, gdy przekazywał olbrzymie kwoty za narkotyki któremuś z pracowników Zaina Carvera. Ustaliłem, że dostarcza się tu dragi, a potem menedżer baru udziela innym klubom w okolicy franczyzy na ich sprzedaż.

To był sprytny system.

Kilku naćpanych ludzi najlepiej ukryć wśród kilku tysięcy pijanych. Z punktu widzenia Zaina Carvera oznaczało to przerzucenie całego ryzyka na menedżera baru. Ten miał urozmaiconą ofertę, dysponował dragami wszelkiego rodzaju. Każdemu z nich odpowiadał określony numer. Koka była trójką, ecstasy piątką, ket jedenastką. Klienci unosili odpowiednią liczbę palców i obsługiwano ich, nawet nie wspominając o narkotykach.

Prawdziwy sekret sukcesu Carvera polegał na tym, że facet miał więcej wspólnego z przestępcą w białym kołnierzyku niż z ulicznym zbirzem. Po prostu jednego dnia dostarczał towar, a drugiego odbierał pieniądze. Jego powiązanie z Isabelle Rossiter stawalo się przez to interesującą anomalią.

Dzisiaj był dzień wypłaty.

Przez spotkanie z Davidem Rossiterem zjawilem się za późno, żeby zobaczyć przekazanie pieniędzy, ale teraz sytuacja wyglądała inaczej. Przyszła pora na działania bezpośrednie.

Nietrudno było zauważyć dziewczynę, która robiła za kuriera. Wyróżniała się przy barze, jak zwykle zamawiając wódkę w zgrabnym wysokim kieliszku. Włożyła czarne rajstopy i krótkie czarne buty, błyskała sztucznym uśmiechem zza jaskraworóżowej szminki. Miała długie, kasztanowe włosy, a jej zamszowa kurtka w stylu vintage prawdopodobnie była starsza od niej. Dziewczyna była młoda, miała dwadzieścia kilka lat. Podręcznikowy przykład ukrywania się w najbardziej widocznym miejscu.

Gdy przewróciłem jej kieliszek, zniosła to dobrze. Na chwilę jej gęste rzęsy uniosły się z oburzeniem. Jednak równie szybko skinęła na menedżera baru i zamówiła następną wódkę, odzyskując chłodną obojętność, która, jak zakładałem, figurowała w opisie jej stanowiska pracy.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy – powiedziała.

– Cath, prawda? – Na moment znieruchomiała, a potem odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Chyba poznaliśmy się na jednej z imprez u Zaina...

– Czyżby. – Nie było znaku zapytania.

– No wiesz, widzieliśmy się tylko przez chwilę.

W rzeczywistości parę razy widziałem, jak rozmawiała z Carverem, ale nigdy nie nawiązałem kontaktu z żadnym z nich. Smutne, nieładne dziewczyny stojące w głębi sali podały mi jej imię. Mówiły o niej, jakby była sławna. „Cath – powiedziały – to jedna z jego ulubienic”. Zaczynała tak jak one, w głębi sali, nie znając nikogo, a potem wypracowała sobie lepszą pozycję, z imprezowej dziewczyny stała się partnerką. Zakładały, że zawdzięcza to swojemu uporowi, że mogą ciężiej pracować w pokojach i też osiągną to co ona. Te bystrzejsze mogły zdać sobie sprawę, zanim będzie za późno, że dla nich nigdy nie nadejdzie ten dzień.

Menedżer baru przyniósł jej nowego drinka, patrząc na mnie spode łba. Coś mi zaświtało. Odniosłem wrażenie, że skądś go znam, i zastanawiałem się, czy on też mnie rozpoznał. Catherine z drinkiem w ręku wydała się spokojniejsza, odwróciła się do mnie z ładnym, miłym uśmiechem. Zupełnie innym od tego jaskrawego aktorskiego grymasu, który malował się na jej twarzy wcześniej. Przypominała wybitnego aktora, który w każdą rolę wkłada dokładnie tyle prawdy, żeby wypaść przekonująco. Nawet jeśli w połowie zdania zmieniała wcielenie, żadne z nich nie wydawało się fałszywe.

– Wiesz – powiedziała – teraz z pewnością cię zapamiętam...

– Pozwól, że zapłacę za drinka.

– Kiedy następnym razem będziesz przewracał dziewczynie drinka, żeby jej postawić następnego, upewnij się, czy nie pije na koszt firmy.

Wykonała ruch, jakby zamierzała odejść.

– Gdybym go nie przewrócił, nie chciałabyś ze mną rozmawiać – powiedziałem do jej pleców.

Odwróciła się.

– A wiesz, może i bym chciała. Pasuje ci to podbite oko. Bez niego twoja twarz by zniknęła.

– Jak tylko limo zaczyna schodzić, szukam kogoś, kto znowu mi przywali.

– Jasne. Powiedz mi coś...

– Aidan.

– Aidan. – Przestała się uśmiechać. – Naprawdę szukasz kłopotów? – Nie odpowiedziałem. – Więc to przypadek, że kręcisz się w niebezpiecznych miejscach? – Jej wzrok podążył w stronę menedżera baru, a potem wrócił do mnie. Spojrzałem na barmana. Stał i obserwował nas z rękami splecionymi na szerokiej klatce piersiowej.

– Tak – powiedziałem. – Jasne, że tak.

– No to pozwól, że dam ci pewną radę. – Podeszła bliżej. – Wracaj do domu. Oszczędź sobie następnego lima.

– Jak powiedziałeś, bez niego moja twarz by zniknęła.

Znowu spojrzała na menedżera baru.

– Skarbie, zniknięcie to chyba nie najgorszy pomysł.

– Wybacz, że zawracałem ci głowę.

Zadowolony barman oddalił się, by obsłużyć grupę dziewczyn. Catherine podniosła kieliszek i pociągnęła zdrowy łyk. Odstawiając go, dyskretnie wsunęła pod spód karteczkę.

– Chyba mógłbyś kiedyś postawić mi drinka... – Jej uśmiech znowu był szeroki i sztuczny, ale chyba przez chwilę widziałem w nim coś szczerzego.

– Pewnie bym go przewrócił. Dobranoc.

Przeszła przez salę rozkołysanym, wdzięcznym krokiem i zniknęła za drzwiami.

Przykryłem dłonią karteczkę, którą zostawiła pod kieliszkiem, i odczekałem chwilę. Potem wyszedłem i ruszyłem ulicą do wynajętego mieszkania, w którym się zatrzymałem. Wyrzuciłem zepsuty zegarek, wziąłem trochę amfy i przebrałem się.

Winę za trzeci wymierzony we mnie cios ponosiłem wyłącznie ja sam. Miałem szczęście, że potem w ogóle dostałem jakąś robotę, nawet jeśli polegała ona na chodzeniu od baru do baru za kurierkami Franczyzy.

Pracowałem na cmentarnej szycie przez kilka tygodni z przerwami. Żebrałem, kradłem i pożyczałem od innych dzienne zmiany, a potem zamieniałem je na nocki. Uwielbiałem patrzeć, jak między dziewiątą wieczorem a piątą rano miasto, które znam, przeobraża się w coś innego. Uśmiechnięte buźki na oknach namazane przez dzieci przeszywało neonowe światło.

Lubiłem tych ludzi.

Byli młodzi, pijani i zakochani. Dziewczyny były jak błyskawice, a faceci nie mogli przestać gadać. Nocą transseksualiści, goci i geje brali w posiadanie główną ulicę, nadając jej koloru i wykrzykując chórem słowa, których nawet nie znałem. I to działało. Byłem mniej więcej trzeźwy. Mniej więcej trzymałem się z dala od kłopotów.

Jedynym problemem był mój szef. Inspektor Peter Sutcliffe. Tak, naprawdę się tak nazywał*. Być może jego los został przesądzony, gdy tylko wpisali to nazwisko na jego akcie urodzenia. Być może naśmiewano się z niego w młodości, kojarząc go od razu z powszechnie znienawidzoną postacią. Tak czy inaczej, nazwisko drania pasowało do niego jak ulał. Nazywali go Suttty. Dzięki ksywce łatwiej było uniknąć niezręcznej sytuacji, ale jednocześnie żartowano sobie z jego nadwrażliwości na światło**.

Suttty był blady jak trup, miał alergię na światło dzienne.

Dowiedziałem się o nim wielu rzeczy, niekoniecznie do brych. Zacząłem pracować na cmentarnej zmianie, mając romantyczną wizję nocnego życia, którą rzeczywistość szybko zweryfikowała. Nie wiedziałem o wampirach, dilerach wychodzących tylko nocą, i nie mógłbym wam nic powiedzieć o gangach – o tym, który co sprzedawał i jak można je było odróżnić. Bez trudu rozpoznawałem tylko ludzi śmiechu. Nazywano ich tak z powodu dwucentymetrowych blizn w kącikach ust. Okaleczali ich dilerzy, znakując w ten sposób tych, którzy spóźnili się z zapłatą albo za bardzo pyskowali.

Suttty poznawał Rushboyów i Whalleyów po samym sposobie, w jaki gwizdali, żeby zwrócić na siebie uwagę. Potrafił zauważyć Burnsidera, który zapuścił się za daleko na południe. Umiał wskazać kurierki Franczyzy, syreny, sunące od klubu do klubu. A poza tym miał wręcz nadprzyrodzony dar wyczuwania kłopotów.

Zaczynała się niedziela, była mniej więcej druga albo trzecia w nocy, i pracowaliśmy na Oxford Road. Ta ulica, łącząca

* Peter William Sutcliffe (ur. 1946) to seryjny zabójca zwany Rozpruwaczem z Yorkshire. W latach 1975–1980 mordował i okaleczał kobiety w okolicach Leeds i Bradford. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

** Suttty wymawia się podobnie jak ang. *sooty* – pokryty sadzą, przyczer-niony.

studenckie kwatery z uniwersytetem, a dalej uniwersytet z centrum miasta, widzi to, co najlepsze, i to, co najgorsze. Pracujące dziewczyny i gości nagabujących prostytutki z samochodów, dilerów i ich klientów.

Prowadzi także do jednej z najbardziej wychwalanych atrakcji miasta. Do strefy curry. Setek pakistańskich, bangla-deskich i kaszmirskich restauracji ciągnących się jedna przy drugiej jak okiem sięgnąć. Do kwitnącej, tętniącej życiem muzułmańskiej społeczności. Interesowała nas ona z powodu pewnej taktyki, którą niedawno zauważyliśmy.

Sutty nazywał ją „numerem z chustą”. Młode kobiety w burkach, zwyczajny widok na tej ulicy o każdej porze, kamuflaż dla ruchów ciała. Wiadomo było, że niektórzy dilerzy pracują w takim stroju, i część co bardziej nerwowych ćpunów też zaczęła się tak nosić. Doprowadzało to Sutty’ego do wściekłości. Prawdopodobnie ciemnoskóry. Prawdopodobnie narkoman. Jego wróg do kwadratu.

Staliśmy przy jakiejś czynnej całej dobie budzie, pijąc kawę, a Sutty palił papierosa. Dźgnął mnie w żebra i wskazał głową prosto przed siebie.

– Oto nasza dziewczyna.

– Co? Gdzie?

Miał na myśli niską kobietę w czarnej burce po drugiej stronie ulicy.

– Jak dla mnie wygląda na kogoś, kto wraca do domu.

– Chodź – powiedział, lawirując między samochodami. Pokazał kierowcom uniwersalny gest, a ja ruszyłem za nim. Podbiegł do kobiety i stanął przed nią, zagradzając jej drogę. Próbo-wała go ominąć, ale podniósł rękę.

– *Allahu akbar* – powiedział, sapiąc.

Kobieta nie odpowiedziała.

– No, dalej – zakomenderował Sutty. – Zdejmuj to z głowy.

Rozejrzała się na boki. Wyglądała jak schwytana w pułapkę. W końcu zdjęła burkę. Miała rzadkie, cienkie włosy koloru

słomy. Była biała, bez wątpienia uzależniona, prawie tak blada jak Suttty. Gdy do nich podszedłem, zobaczyłem, że została naznaczona. Miała dwucentymetrowe blizny po obu stronach ust.

– No i co się tak szczerzysz? – powiedział Suttty, śmiejąc się z własnego dowcipu. Twarz kobiety nawet nie drgnęła. – Pokaż mi, co masz w ręce, skarbie. – Prawą dłoń, zaciśniętą w pięść, kurczowo trzymała u boku. Niechętnie ją wyciągnęła i otworzyła. W środku były dwa zapocone i wymiętoszone banknoty dziesięciofuntowe. Suttty wziął je, mówiąc: „Bardzo dziękuję”, i odwrócił się, żeby odejść.

Gapiała się na swoją pustą rękę. Potem obejrzała się zdezorientowana i popatrzyła na mnie.

– Proszę pana – zawołałem za nim. Zabrzmiało to słabo. – Proszę pana... – powtórzyłem. Nie odwrócił się, więc krzyknąłem: – SUTCLIFFE!

Zatrzymał się, spojrzał na mnie. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Nie może pan tego zrobić – powiedziałem.

Przez chwilę sterczał bez ruchu w strumieniu ludzi, którzy nas mijali. Wreszcie pokiwał głową. Podszedł do dziewczyny, pogrzebał w kieszeniach i oddał jej banknoty. Potem wziął ją za ramię i przysunął do mnie.

– Przeszukaj ją – powiedział. Spojrzałem na niego. – Przeszukaj ją, kurwa, to rozkaz.

Niechętnie odwróciłem się do kobiety. Obok przechodzili ludzie, starając się omijać Suttty’ego szerokim łukiem. Znowu wyciągnęła ręce, otworzyła tę z pieniędzmi. Tylko że teraz między banknotami widniała wciśnięta tam torebka koki, której wcześniej nie było. Suttty podszedł i zmarszczył brwi, jakby go to zaskoczyło.

Cmoknął z dezaprobatą, wykręcił kobiecie ręce i zakuł ją w kajdanki. Ciągnąc ją przez ulicę do czekającego radiowozu, błyskał paskudnym uśmiechem.

– Dobrze zrobiłem, że oddałem jej tę kasę, co?

W samochodzie płakała. Zgłosiliśmy ją i przekazaliśmy drągi do magazynu dowodów rzeczowych. Niezbyt długo zmagalem się z sumieniem. Następnego dnia wszedłem do komendy głównej policji przy stacji Central Park, wpisałem się do książki i pojechałem windą na piąte piętro. Wprowadziłem kod bezpieczeństwa i wszedłem do strefy chronionej, gdzie skonfiskowane narkotyki przechowywano w szafkach na drowdy. Wziąłem kokainę, a na jej miejsce podłożyłem talk. I na tym by się skończyło. Ale tak się złożyło, że zrobiłem to akurat w dniu, gdy komisarz Parrs zarządził przegląd szafek. Pamiętam, jak szedłem korytarzem i krew huczała mi w uszach.

A potem cichy, szczebiotliwy głos.

– Przepraszam, detektywie...

Od razu wiedziałem. Przez dwie godziny siedziałem śmiertelnie wystraszony przed gabinetem komisarza Parrsa. Gdy otworzył drzwi i wezwał mnie do środka, rozmawialiśmy po raz pierwszy w życiu. Kazał mi usiąść i obrał kurs, który później wydał mi się bardzo w jego stylu.

Milczał.

Siedzieliśmy w ciszy, aż w końcu nie byłem w stanie dłużej tego znieść. Opowiedziałem mu swoją historię, przyjmując do wiadomości, że kończę karierę, zanim się zaczęła. Nie zaprzeczał, ale gdy zamilkłem, a on rozparł się w fotelu, żeby to przemyśleć, odniosłem wrażenie, że w jego oku widzę błysk zainteresowania.

Ten szkocki akcent.

– Myślisz, że zasady cię nie obowiązują, Waits?

– Sutcliffe...

– Sutcliffe'em zajmę się sam. Zajrzałem do twojej kartoteki. W zasadzie jest w porządku, mimo że masz lekkie skłonności do samotnictwa. Możliwe, że szukam właśnie kogoś takiego jak ty.

– Słucham?

– Synu, powiem wprost. Zamierzam ci dać dwie możliwości do wyboru. Szczerze doradzam pierwszą. – Czekalem. – Mogę

cię z miejsca zwolnić. Wnieść zarzuty. Doprowadzić do skazania i zademonstrować ci wnętrze celi. Poza tym poszedłbym z tym do gazet, powiedziałbym wszystkim, że jesteś umoczony. Załatwiłbym ci bezrobocie do końca życia.

– A ta druga możliwość?

– Możesz dla mnie wykonać pewną robótkę. Pogłoski o tym, co zrobiłeś, krążą już po całej komendzie. W południe będą krążyły po całym mieście. Możemy na tym skorzystać.

– W jaki sposób?

Pochylił się.

– Potrzebuję kogoś, kto wygląda na umoczonego.

Przedstawił mi zarys planu.

To tajemnica poliszyneła, powiedział, że Zain Carver ma na swojej liście płac funkcjonariuszy policji. Przez lata ginęły dowody, organizowano nieudane, bezowocne naloty na jego nieruchomości. Moje zadanie miało polegać na ustaleniu, kto siedzi u niego w kieszeni. Na sprawianiu wrażenia, że jestem jeszcze bardziej skorumpowany niż oni. Na przekazaniu trefnych informacji i zastawieniu pułapki.

– Tak czy inaczej – ciągnął Parrs – zostaniesz zawieszony w trybie natychmiastowym i będzie cię czekał proces. Nie dostaniesz żadnych spraw. Będziesz miał czas, żeby wniknąć w szeregi czarnych charakterów. – Posłał mi diabelski uśmiech. – Jeśli zechcesz być moim człowiekiem, jeśli podejmiesz słuszną decyzję, zarzuty, o których mówimy, będą mogły zwyczajnie zniknąć...

– I radzi mi pan, żebym wybrał pierwszą możliwość?

– Pierwsza możliwość zrujnuje ci karierę. Druga może ci zrujnować życie.

– Kiedy mam podjąć decyzję?

– Coś ci powiem: zaraz zacznę spisywać zarzuty. – Sięgnął po długopis i pstryknął nim. – Jeśli nie chcesz iść do więzienia, nie pozwól mi dotrzeć do końca kartki.

Pierwsza możliwość była zła, ale najbardziej wystraszyła mnie wzmianka o celi. Dorastałem w domu dziecka. Zaliczyłem

wystarczająco dużo prycz, stołówek i godzin policyjnych. Spojrzałem na Parrsa. Pisał szybko, a widząc słowa na kartce – „zmowa”, „korupcja” – zrozumiałem, że tak naprawdę wcale nie mam wyboru.

– Dobrze, zrobię to – powiedziałem.

Myślałem, że nie mam nic do stracenia. Początkowo perspektywa wtopienia się we Franczyzę nawet mi się podobała. Strach komisarza Parrsa, że zostanę zdemaskowany, graniczył z paranoją i tylko trzy osoby wiedziały, że zejść do podziemia.

Oddałem mieszkanie i umieściłem swoje rzeczy w komórce. Przenosiłem się do centrum miasta. Do samego jądra, gdzie miałem chodzić od baru do baru, śledząc Franczyzę. Zastanawiałem się, co powiem ludziom z dawnego życia, ale gdy ożnajmiłem dziewczynie, z którą wtedy sypiałem, że przez jakiś czas mnie nie będzie, roześmiała się. „Nie będzie cię? – zapytała, wrzucając swoje rzeczy do torby. – Przecież tak naprawdę nigdy cię tu nie było”.

Przestałem chodzić do pracy. Zniknąłem. Przygotowano bajeczkę dla prasy i wszyscy uwierzyli w to, co przeczytali o mnie w gazetach.

„Skompromitowany detektyw Aidan Waits”.

Mój umysł ciężko pracował, szukając powiązań. Obracałem w palcach karteczkę, którą Catherine zostawiła na barze. Było to zaproszenie na afterparty w Fairview. W domu Zaina Carvera. Mogłem tam pójść wieczorem i namierzyć Isabelle Rossiter.

Znalazłem butelkę wina i włożyłem kurtkę. Amfa natychmiast mnie ożywiła. Przez chwilę stałem przy oknie, oddychając głęboko, patrząc na niekończące się bloki.

Wieżowce z nieustannie rozświetlonymi oknami.

Załomotałem do drzwi i czekałem.

Basowe dźwięki dudniły w budynku jak puls. Drżące okna i ściany sprawiały wrażenie, jakby dom przysuwał się do mnie cal po calu. Głośnie muzyka przyciągała z ulicy obcych ludzi, którzy nie mieli odwagi zapukać i zbijali się w grupki na końcu ścieżki, obserwując mnie, jakbym był ich przywódcą.

Fairview znajdowało się na granicy między West Didsbury i Withington, dwiema najzamożniejszymi dzielnicami na obrzeżach miasta. Wyglądało jak przodek jakiejś szlacheckiej rodziny budynków, który dostał od losu wszystko co najlepsze. Chwyciłem za szyjkę butelkę czerwonego wina i kilka razy uderzyłem dnem w drzwi.

Otworzyła mi dziewczyna w czarnej wieczorowej sukience. Miała kredowobiałą cerę i naturalne rude włosy. Coś do mnie powiedziała, ale jej słowa zagłuszyła dobiegająca ze środka muzyka. Oczy miała obramowane tuszem i to właśnie one, w połączeniu z ponadczasową sukienką i tymi zagubionymi słowami, nadawały jej wygląd gwiazdy niemego kina z lat dwudziestych. Stałem z bezradną miną. Widocznie

przywykła do takiej reakcji, bo wyjęła mi z ręki karteczkę od Catherine i skinęła, zapraszając mnie do środka.

Powietrze wewnątrz wydało mi się gęste. Był to dom wariatów wypełniony gwarem i śmiechem, a gdziekolwiek spojrziałem, widziałem spoconych ludzi, którzy tańczyli i całowali się. Odwracając się, żeby podziękować rudej, która otworzyła drzwi, zobaczyłem, że już je za mną zamknęła i wróciła do przerwanej rozmowy z innym mężczyzną. Tak jak się spodziewałem, wyróżniałem się w tym otoczeniu, bo bliżej mi było do trzydziestki niż do dwudziestki.

Nigdzie nie widziałem Catherine, ale moją uwagę przykuła inna dziewczyna. Stała po prawej i wyglądała jak ktoś z zupełnie innej bajki. Oślepiający blond jej punkowej fryzury zastąpił naturalny kolor włosów, które okalały ładną twarz. Miała wspaniałą, szczupłą figurę siedemnastolatki, ale ubiór nieco ją postarzał. Wodziła wokół pustym wzrokiem i żuła kosmyk włosów, przyciągając znaczące spojrzenia pewnych siebie, nieco starszych chłopaków.

Isabelle Rossiter.

Miała na szyi jasną postrzępioną apaszkę, której nieustannie dotykała, sprawdzając, czy wciąż jest na miejscu. Jej ojciec powiedział, że dźgnęła się w szyję, więc zakładałem, że apaszka zasłania bliznę.

Odsunąłem się od drzwi, mruknąwszy jakieś podziękowanie za to, że mnie wpuszczono, i rzuciłem rudej spojrzenie konającego. Przyjęła je z niewzruszoną obojętnością pięknej kobiety, która codziennie zabija setki mężczyzn. Przyjaźnie skinąłem do Isabelle Rossiter i wszedłem dalej.

Korytarz był zapchany ludźmi. Przeciskałem się między nimi, rozdzielając gęstwinę nawalonych dwudziestoparolatków pijących prosto z butelek. Niektórzy mieli szkliste oczy po wstrzyknięciu albo wypaleniu ósemki, ale gwoździem programu było tego wieczoru ecstasy. Piątka. Byłem zbyt obcy, żeby dołączyć do tańczących w sąsiednim pokoju, i zbyt

zmęczony, żeby stawiać opór falom nawalonych ludzi w korytarzu, a wejście na piętro było niemożliwe. Schody stały się niewidzialne za sprawą par stojących w kolejkach do toalet, pryszniców, sypialni i seksu.

– Mogę się napić? – powiedziała mi do ucha jakaś dziewczyna.

Zobaczyłem błysk porcelanowej skóry, białych zębów i obłędnie jasnych włosów. Pomyślałem o zdjęciu, które dał mi jej ojciec. Isabelle Rossiter była teraz chudsza, ale nie wyróżniała się w tym otoczeniu. Inne dziewczyny miały od pięciu do dziesięciu lat więcej niż ona, lecz ich figury były podobne. Jakby zeszlifowały się prawie na śmierć, pozbywając się wszystkiego, co wystaje.

– Jasne – powiedziałem, podając jej butelkę.

Zanim zdążyła wytrzeć usta, przestała się mną interesować. Rozglądała się, jakby miała nadzieję, że ktoś nas obserwuje. Gdy ruch na korytarzu zmusił nas, żebyśmy się do siebie przysunęli, zmierzyła mnie wzrokiem. Znowu spojrzała mi w oczy i wydawała się zawiedziona.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała, przekrzykując muzykę.

Było to inteligentne pytanie. Przez swój wiek, sposób zachowania, przez swoje ciemne ubranie wyróżniałem się w tym młodym, pełnym życia, kolorowym towarzystwie.

– Pomyślałem, że masz ochotę się napić.

Pokazała mi idealnie białe zęby.

– Skąd znasz Sarah Jane?

– Sarah Jane?

– Tę rudą, której przed chwilą padłeś do stóp.

– Pierwszy raz ją widzę.

– Wpuszcza tylko tych, których zna...

– To dzięki mojej twarzy.

– Dzięki twojej twarzy? – Po raz pierwszy porządnie mi się przyjrzała. – Masz na myśli to limo?

– Limo to tylko skutek błędnej identyfikacji.

– Jasne, jasne – powiedziała, pociągając następny łyk z mojej butelki. Przechodzący ludzie popchnęli nas jeszcze bardziej ku sobie. – Założę się, że zrobiłeś sobie makijaż, żeby groźniej wyglądać.

– Jaki makijaż? Po prostu chodzę na imprezy i obrażam największego faceta, którego uda mi się znaleźć.

Uniosła brew.

– Poznałeś Zaina?

Staliśmy tak blisko siebie, że prawie dotykaliśmy się ustami. Pochyliłem się w stronę jej szyi, żeby mogła mnie usłyszeć mimo głośniejszej muzyki.

– Jest tu dzisiaj?

– Nie widziałam go.

– Ale go znasz?

– No – powiedziała z obojętnym wyrazem twarzy.

– Z tego co słyszałem, dostałbym od niego coś więcej niż limo.

– Mówiłeś, że skąd znasz Sarah Jane?

– Mówiłem, że jej nie znam.

Odsunęła się ode mnie.

– No więc co tutaj robisz?

– Poznaję fajne dziewczyny...

– U Zaina nie ma fajnych dziewczyn.

– A ty?

Zmarszczyła nos na tę wazelinę.

– Nie byłem zbyt fajna, kiedy się tu zjawiłam, a teraz jestem jeszcze gorsza.

– Jak to „gorsza”?

Zaczęła się odwracać i wziąłem od niej butelkę.

– Chciałam ją zabrać – powiedziała.

– Wielka szkoda.

– Daj spokój... Mógłbyś przynajmniej dać mi się napić.

Przytaknąłem i wypilem łyk.

Przechyliła głowę. Starła się wyglądać na znudzoną.

– Obciągnę ci za to.

Ludzie przeciskający się przez korytarz zmusili nas do zbliżenia się jeszcze bardziej i chyba zauważyłem, jak się rumieni. Podalem jej butelkę i trochę się odsunąłem.

– Masz, jest za darmo.

Przez kilka sekund przyglądała się butelce w swoim ręku.

– Przepraszam – powiedziała. Lekko się uśmiechnęła, była zakłopotana. – Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. – Odsunęła się i wchłonął ją wzbierający tłum.

Dryfowałem od pokoju do pokoju z prądem imprezy. Tylko jedne drzwi były zamknięte i byłem ciekaw, co się za nimi znajduje. Tego wieczoru nie zobaczyłem więcej Sarah Jane, tej rudej, ani Isabelle Rossiter. Carver i Catherine chyba w ogóle się nie pojawili. Odniosłem dziwne wrażenie, że są razem w zupełnie innym miejscu. Że to wszystko zostało zaaranżowane na mój użytek. Zastanawiałem się, w co Parrs mnie wpakował.

W sobotę obudziłem się wcześnie. Był ostatni dzień października. Znalazłem wizytówkę Davida Rossitera i wystukałem dziesięć z jedenastu cyfr, ale zrezygnowałem. Zamiast tego wybrałem zupełnie inny numer. Komisarz Parrs odebrał po pierwszym sygnale.

– Wa i t s – powiedział.

Parrs zawsze odbierał telefony w taki sam sposób. Jakby właśnie wpatrywał się w słuchawkę, czekając, aż na wyświetlaczu pojawi się twoje nazwisko. Miał niski, warkliwy głos i lekki szkocki akcent.

– Dzień dobry, panie komisarzu.

– Jak tam Rossiter? – spytał.

– Starszy czy młodszy członek rodziny?

– Najpierw starszy.

– Wypiliśmy drinka. Byłem zaskoczony. Między innymi tym, że pana tam nie było.

– Hm – mruknął. – Decyzja zapadła na wyższym szczeblu. Podjął ją minister razem z naszą ukochaną panią nadkomisarz.

– A co ona ma do tego?

– Uznała, że gdybym się tam znalazł, sprawa mogłaby nabrać oficjalnego charakteru. Stanowczo uważa, że ze względu

na pozory i legalność naszej roboty te dwie dziedziny twojej działalności powinno się trzymać z dala od siebie.

– Miło z jej strony – powiedziałem.

– Hm – powtórzył.

Ilekoć mówił o nadkomisarzu Chase, w jego głosie po-brzmiewało powątpiewanie, które cieszyło moje uszy. Pod każdym innym względem Parrs był nieprzenikniony. Mnie wydawało się zrozumiałe, że wcisnęła mu sprawę Rossitera, ale Parrs miał do niej o to żal. Podwójny, dlatego że rozkaz wydała kobieta.

– Nie zapominaj, dla kogo pracujesz i jakie masz priorytety – wdarł się w moje myśli. – Zresztą za parę tygodni i tak miałeś nawiązać kontakt z Franczyzą. Tylko dlatego się na to zgodziłem.

– Rozumiem.

– Wczoraj byłeś w tym domu.

Nie widziałem go, więc nie umiałem ocenić, czy zadaje mi pytanie, czy też mówi o tym, co już wie.

– Tak jest.

– I?

– I nie zastałem Carvera.

– Narkotyki?

– Krążyły, ale tylko w studenckich ilościach.

– No więc co z tą Isabelle Rossiter?

– Była tam. Pan Rossiter prosił, żebym zachował dystans, ale chyba wszystko z nią w porządku.

Pomyślałem o tym, jak wzięła ode mnie butelkę, i cieszyłem się, że nie kłamię Parrsowi prosto w oczy.

– Mieszka tam?

– Z tego co zauważyłem, to tak. Chciałem zadzwonić do ministra, ale pomyślałem, że najpierw porozmawiam z panem.

– Będziesz go o wszystkim informował, ale dopiero jak sprawdzisz, o czym chcę, żeby był informowany. Może znać ogólny zarys sytuacji. Widziałeś poranną gazetę?

– Nie, jeszcze nie.

– Oczywiście, że nie. Zdziwiłbym się, gdybyś powiedział, że widziałeś już dzisiaj swój prysznic i maszynkę do golenia. Planowałem, że jak już nawiążesz kontakt z Franczyzą, pod koniec roku zamieszczę w prasie apel w sprawie Greenlaw. Ale skoro realizujemy plan z wyprzedzeniem, udało mi się to opublikować w dzisiejszym „Evening News”. Na początku przyszłego tygodnia będzie powtórka.

Mimo swojej nazwy „Evening News” wychodziło rano. Musiałbym mieć szczęście, żeby je jeszcze zdobyć.

– Czemu ma służyć ten apel?

– Odkąd zniknęła, minęło mniej więcej dziesięć lat.

Słyszałem jego głośny oddech. Mimo rzekomego zainteresowania handlem narkotykami miałem wrażenie, że komisarza fascynuje przede wszystkim zniknięcie Joanny Greenlaw. Ośławiona nierozwiązana sprawa mająca związek z Franczyzą.

– Jej rodzina jest w to zaangażowana?

– Ona nie miała rodziny. W wieku piętnastu lat urodziła dziecko, ale oddała je do adopcji. Chcę zobaczyć, jak Zain Carver zareaguje na ten apel. A jeśli nie zareaguje, masz go do tego skłonić.

– Spróbuję.

– Niech go to rozzłości – odparł. Parrsa nie obchodziło, że narazi mnie na niebezpieczeństwo. Pewnie traktował to jak dodatkową korzyść. On też nie miał nic do stracenia. – Poza tym działaj zgodnie z planem.

– Tak jest.

– Coś jeszcze?

Pomyślałem o rumieniącej się Isabelle z winem w ręce. Nie miałem ochoty podsuwać szantażyście także i jej życia.

– To chyba wszystko – powiedziałem.

Apel w sprawie Greenlaw był dodatkową inicjatywą komisarza. Nie mieścił się w ramach naszej początkowej umowy, zgodnie z którą miałem badać Franczyzę jak jakiś delikatny ekosystem. Był kamieniem wrzuconym do sadzawki. Zmienił moją tajną operację w samobójczą misję.

Joanna Greenlaw była czymś więcej niż miejską legendą.

Na początku stulecia pracowała jako kurierka Zaina Carvera. Jego pierwsza. Na zawsze zapisała się w pamięci policjantów, gdy zgodziła się przeciwko niemu zeznawać. Stara gwardia nadal używała jej nazwiska w odniesieniu do działań mających małe szanse powodzenia.

„Synu, niczego na niego nie znajdziesz. Potrzebowałbyś pieprzonej Joanny Greenlaw”.

Wstałem, ubrałem się i znalazłem egzemplarz „Evening News”. Tekst od razu rzucił się w oczy.

„POLICJA APELUJE O INFORMACJE W SPRAWIE ZNIKNIĘCIA GREENLAW”

Dziesięć lat.

Napisano, że Greenlaw była powszechnie lubianą dwudziestosześcioletnią dziewczyną, która miała powiązania ze światem przestępczym. Gdy się od niego odcięła i zaczęła nowe życie, zaginęła bez śladu. Prawda była trochę bardziej skomplikowana.

To ona wpadła na to, żeby Carver udzielał barom franczyzy. Wcześniej był plotką. Sprzedawał rekreacyjne ilości miękkich narkotyków, zastanawiając się, co zrobić ze swoim życiem. Franczyza wszystko zmieniła. Miał cechy niespotykane dotąd na niestabilnym rynku narkotykowym w mieście: profesjonalizm i umiejętność strategicznego myślenia. Niestety towarzyszyła im ambicja. Gdy się uparł, żeby rozszerzyć działalność, na scenie pojawiła się krew. Joanna zgłosiła się na policję po tym, jak zabito inną kurierkę, jej przyjaciółkę.

Zastosowano wobec niej wyjątkowe środki – ekonomiczną wersję programu ochrony świadków – i zainstalowano ją w opuszczonym domu przy Thursfield. Przy tej ulicy duchów w Salford stały same rudery. Puste i położone na odludziu, niewarte tego, by je wyremontować ani nawet zrównać z ziemią. Idealnie nadające się na kryjówkę.

Z powodu małej skali operacji zabrakło kogoś, kto pilnowałby drzwi. Jeden z funkcjonariuszy zajrzał tam pod koniec zmiany i zaczął się niepokoić. Nikt nie odpowiadał na jego ponawiane pukanie, więc wyważył drzwi kopniakiem. Po wejściu do środka musiał wytrzeć buty. Cały próg był wymazany czarną i białą farbą.

Przyjrzałem się zdjęciu obok apelu policji. Joanna miała ciemne, naturalnie kręcone włosy i była ubrana w długi gruby pulower oraz czarne legginsy. Wyglądała raczej jak studentka akademii sztuk pięknych niż dilerka. Jej twarz miała nieokreślony wyraz, coś pomiędzy nikłym uśmiechem a zdziwieniem. Stała w salonie obok kominka, tak mocno wciśnięta we wnękę w ścianie, że wyglądała, jakby chciała w niej zniknąć.

Dziesięć lat temu.

Funkcjonariusz szukał jej w domu, ale nie znalazł, podobnie jak jej walizki i ubrań.

Z tego co wiedzieliśmy, nikt więcej nie widział Joanny Greenlaw. Osobiście woląłem nie dociekać, co Zain Carver miał z tym wspólnego.

W następnym tygodniu wróciłem do żmudnej obserwacji z poprzedniego miesiąca. Nawiedzałem lokalne bary, szacowałem, jak daleko sięga Franczyza. Zwykle lubiłem te chwile samotności, ale piątkowa impreza nie dawała mi spokoju. Chciałem wejść w życie ludzi, których tam poznałem, i tych, których nie poznałem. Utrzymywanie podwójnej tożsamości wywoływało pewien dreszcz emocji, ale chodziło o coś więcej. Miałem wrażenie, że to druga szansa, żebym zakosztował trochę życia, które wcześniej mnie omijało.

W poniedziałek zadzwoniłem do Davida Rossitera, by mu przekazać najnowsze informacje w sprawie córki. Nalegał, żebym wpadł na kawę do jego penthouse'u i podzielił się wrażeniami.

– Mogę się zjawić w ciągu godziny – powiedziałem.

– Wyślę samochód.

Dopiero kiedy się rozłączyliśmy, uświadomiłem sobie, że nigdy mu nie mówiłem, gdzie mieszkam. Dziesięć minut później podjechało czarne bmw. Detektyw Kernick, tym razem sam. Bez słowa powiózł mnie do Beetham Tower. Wjechał ze mną windą. Muzyka w tle płynęła z niezmaconym spokojem.

Gdy znowu znalazłem się na czterdziestym piątym piętrze, poczułem dreszcz emocji, coś jak wyładowanie elektryczne. Detektyw Kernick poprowadził mnie korytarzem do tego samego apartamentu co poprzednio. Otworzył drzwi i zamknął je za mną, a sam został na zewnątrz.

Słabe zimowe światło nadawało pomieszczeniu odcień sepii. Tym razem David Rossiter już czekał na mnie w salonie. Nawet na siedząco robił imponujące wrażenie. Odezwał się dopiero, gdy Kernick zamknął drzwi.

– Dzień dobry, Waits – powiedział, wstając, żeby uściśnąć mi rękę.

– Dzień dobry.

– Proszę, niech pan siada.

Usiedliśmy.

– Naprawdę mam niewiele do powiedzenia.

– Sam to ocenię, jeśli pan pozwoli.

– No więc po naszym piątkowym spotkaniu poszedłem do baru przy Locks. Mniej więcej od miesiąca obserwuję tam człowieka, który, jak sądzę, ma powiązania z Francyzą.

– Jak nazywa się ten bar?

– Obawiam się, że nie mogę powiedzieć.

Uniósł brew.

– Jak rozumiem, moja praca dla pana to coś w rodzaju osobistej przysługi. A dochodzenie jest w toku. Nie mogę panu mówić wszystkiego...

Zamyślił się.

– Niech pan kontynuuje.

– Interesują mnie piątki, bo właśnie wtedy Carver odbiera swoją forszę.

– W jaki sposób?

– Zatrudnia grupę młodych kobiet, które udają, że przyszły się zabawić. Gawędzą i flirtują z obsługą baru, a potem biorą pieniądze i jadą taksówką do domu Carvera.

– To bezpieczne?

– Tak, jeśli jest się właścicielem tej sieci taksówek. Po naszej rozmowie nawiązałem kontakt z jedną z tych dziewczyn i zaprosiła mnie do domu Carvera. W piątkowe wieczory przeważnie są tam imprezy. Narkotyki, DJ-e, tańce i tak dalej.

– Narkotyki?

– Głównie ecstasy.

– A Isabelle?

– Chyba wszystko z nią w porządku.

– W porządku?

– Wyglądało na to, że dobrze się bawi.

Znalazłem się na samym skraju prawdy, ale z tego co wiedziałem, Isabelle nie zrobiła nic, co uzasadniałoby szpiegowanie jej. I nic, o czym natychmiast musiałby się dowiedzieć jej ojciec. Nastąpiła chwila ciszy, gdy Rossiter przyswajał te informacje.

– Jakieś domysły? – spytał.

– Nie wiem domysłów, wiem tylko to, co widzę.

– Tak, pewnie tak. – Zdecydowanie spojrzał mi w oczy. – Ale to nie wystarczy, Waits. Skąd miałby pan wiedzieć, co jest istotne dla Isabelle? Co jest istotne dla mnie? Powie mi pan wszystko i sam zadecyduję. Z pewnością wie pan, co pan robi, ale jest pan młody. Nie zauważa pan wszystkich szczegółów, a jeśli nawet, to nie zawsze dostrzega pan ich wagę.

– Z całym szacunkiem...

– Szacunku mam pod dostatkiem. Tym razem potrzebuję faktów.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

– Panie Rossiter, dlaczego zdejmuje pan obrączkę?

W jego oczach pojawił się błysk.

– Słucham?

– Pytam o obrączkę. Dlaczego ją pan zdejmuje?

Dotknął palcami skroni.

– Nie jestem pewien, o co panu...

– Gdy po raz pierwszy uścisnęliśmy sobie dłonie, obrączka była zimna. Ale pan miał ciepłą skórę. Dzisiaj jest tak samo. Jeśli w przyszłości będzie pan musiał zdjąć obrączkę, powinien ją pan włożyć do kieszeni spodni. Gdzieś, gdzie zachowa mniej więcej taką temperaturę, jaką ma pana ciało. Po wrzuceniu jej do kieszeni zdjętego płaszcza, zwłaszcza jeśli wychodzi pan w taką pogodę, będzie zimniejsza od pana dłoni. Nasunie niewygodne pytania.

– Co to ma być?

– Szczegół, który zauważyłem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, Rossiter wpatrywał się w jakiś punkt nad moim ramieniem. Odniosłem przez to wrażenie, że w pomieszczeniu jest ktoś jeszcze, że za mną stoi. Nie poruszyłem się. W końcu wzrok Rossitera przeniósł się z powrotem na mnie. Uśmiechnął się chłodno.

– To wszystko na dzisiaj.

W zarządzanych przez mafię pubach i knajpach Manchesteru syreny doglądają biznesu mafijnego bossa. Żyjąc na krawędzi, skutecznie skrywają swoje sekrety. W łaski syren musi się wkupić młody detektyw Aidan Waits, skompromitowany policjant, który nie może uwolnić się od błędów przeszłości. Aby nie stracić odznaki, zostaje wtyczką wśród narkotykowych dealerów.

Sprawy mocno się komplikują, gdy Waits ma odnaleźć córkę ważnego polityka ukrywającą się wśród syren. Klucząc w świecie skorumpowanych policjantów, pięknych kobiet i bezwzględnej mafii, odkrywa prawdę, którą niekoniecznie chciał poznać.

Świetnie napisany, angażujący i przepełniony mroczną atmosferą kryminał.

Knox zbudował z detalami świat policyjnych śledztw i narkotykowych porachunków, stworzył bohaterów, którzy w życiu poszli na wszystkie możliwe kompromisy. Idealna lektura dla fanów takich kinowych hitów jak *Infiltracja* i *Donnie Brasco*.

E-book dostępny na

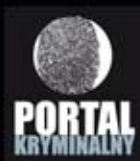
woblink.com

ISBN 978-83-7515-365-1



Cena detal. 39,90 zł

ZODIAC
SERIA ZODIAC.PL



POCISK
KRYMINALNY

 lubimyczytac.pl